

Kon!eksty

miesięcznik Koła Naukowego Publicystyki Politycznej UJ



**Kres mediów jakie
znamy?**

numer 1

marzec 2021

<http://portalpolityczny.home.blog/>

Kon!eksty

W numerze

03 Dlaczego media?



04 Stajnia Augiasza



05 Facebook goes down under



08 Media bez wyboru



10 Jansa kontra słoweńskie media



12 Kto sieje burzę, zbiera brak koncesji



14 Biełsat TV - jedyna niezależna, białoruskojęzyczna telewizja



18 Wojna o duszę latynoameryki





Dlaczego media?

Gabriela Kołodziej

Gdy mówimy o mediach w kontekście środków masowego przekazu, mamy na myśli głównie prasę – najstarsze z mediów, radio, telewizję oraz Internet.

Charakteryzują się one szerokim zasięgiem, ich celem jest dotarcie do jak największej grupy ludzi. Podstawową funkcją mediów jest oczywiście informowanie, przekazywanie społeczeństwu wiadomości na temat ważnych czy ciekawszych wydarzeń z kraju i świata. Służą one również wyjaśnianiu ludziom tego, co się dzieje – w prosty i przystępny sposób. Niewątpliwie celem środków masowego przekazu jest także dostarczanie rozrywki: dają one możliwość oglądania filmów, słuchania muzyki, korzystania z gier czy sprawdzenia, co nowego słychać np. w świecie show-biznesu. Trzeba też zwrócić uwagę na jedno z ważniejszych zadań mediów, jakim zaraz obok ich funkcji informacyjnej jest kształtowanie opinii publicznej, czy też wpływanie na nią. Mówi się o pozytywnym lub negatywnym wpływie mediów, ale kto ma prawo to oceniać? Oczywiście media działają za pośrednictwem ich przedstawicieli, a jak wiadomo – ludzie są różni. Nic więc dziwnego, że tę samą wiadomość możemy przeczytać/usłyszeć/zobaczyć w kilku różnych źródłach, przedstawioną w kompletnie różny od siebie sposób. Każdy odbiorca, jako istota myśląca, potrafi filtrować docierający do niego z każdej strony natłok informacji i sam może wybrać to, co mu najbardziej odpowiada. Tak przynajmniej powinno być.

Problem pojawia się, kiedy ktoś próbuje mediami manipulować lub w jakiś sposób je kontrolować. Mówiąc „ktoś”, nietrudno się domyślić, że chodzi tutaj o jednostki sprawujące władzę. Niejednokrotnie, śledząc sytuację mediów na świecie, można zetknąć się z informacją, że rząd próbuje wykorzystać media w celu zatuszowania jakichś niewygodnych faktów, a nawet, że centralnie je sobie podporządkowuje, by siał swoją propagandę wśród najmniej świadomych obywateli. Najstraszniejsze wydaje się to, że ma to miejsce w krajach, które przedstawiane są jako demokratyczne. Środki masowego przekazu zaczynają być traktowane jako narzędzia polityki. Co z mediami jako przedstawicielami tzw. czwartej władzy? Jako niezależne, a przede wszystkim wolne, powinny one – korzystając ze swoich możliwości docierania do mas – informować i wyjaśniać decyzje oraz działania rządzących, przybliżać je zwykłemu człowiekowi z różnych perspektyw. Tymczasem służą one publicznym kłótniom i atakowaniu przeciwników, którzy starają się za wszelką cenę pokazać „prawdę” lub po prostu, mają inne zdanie czy poglądy. Dlatego ważne jest mówienie o tym problemie i walka: ze strony mediów o niezależność, a ze strony obywateli o możliwość wyboru. Warto przyjrzeć się, jak wygląda ta kwestia nie tylko w kraju, ale też poza jego granicami.

Stajnia Augiasza

Igor Dzedzic



Społeczeństwo informacyjne stawia przed nami niespotykane dotąd wyzwania. Musimy ścierać się z ogromną ilością sprzecznych komunikatów i bodźców o różnorodnym pochodzeniu. Tylko dzięki pozyskiwaniu ich z wielu źródeł jesteśmy zdolni do zachowania równowagi. Dlatego tak ważna jest różnorodność i pluralizm, zarówno w zakresie mediów, jak i wolności głoszenia różnych opinii i poglądów.

Myślę, że każdy z nas miał kiedyś do czynienia z serią komiksów i kreskówek o dzielnych galach – Asterixie i Obelixie (jeśli nie, to polecam, dostępność jest bardzo dobra). W dwunastu pracach Asterixa musieli oni stanąć do nierównej i niesprawiedliwej walki z urzędem. Na pierwszy rzut oka pokonanie aparatu administracyjno-biurokratycznego zdawało się przerastać możliwości tych dwóch dzielnych wojowników. Jednak chwycili oni byka za rogi i łącząc informacje często sprzeczne, pochodzące z różnych miejsc i zasłyszane od rozmaitych osób, zdołali osiągnąć swój cel i zdobyć odpowiednie zaświadczenie.

Ideę tę możemy jednak uchwycić nie tylko w kreskówkach (mimo upływu czasu wciąż finezyjnych i przyciągających nasz wzrok). Szereg filozofów, choćby John Stuart Mill czy Raymond Aron, podkreślali i eksponowali rolę wymiany poglądów. Uważali oni, że tylko dopuszczając do głosu najbardziej obrazoburcze czy kontrowersyjne opinie, jesteśmy w stanie zbliżyć się do poznania prawdy na dany temat.

W tym miejscu, drogi czytelniku (jeśli jeszcze tu jesteś), zastanawiasz się, do czego ma prowadzić ten wykład z historii kinematografii i filozofii. Do prostej konkluzji – jeśli chcesz mieć możliwość samodzielnego wyciągania wniosków i docierania do prawdy na własną rękę, to musisz zadbać o media. O ich wielość i różność. Większość gazet czy stacji telewizyjnych zapewne cię denerwuje (spokojnie, mnie też). Jestem jednak przekonany, że białej gorączki dostałbyś dopiero, gdybyś mógł oglądać tylko Tomasza Lisa, czy czytać wyłącznie felietony Tomasza Sakiewicza. Dlatego tak ważne jest to, aby obaj mieli prawo do swobodnego wyrażania swoich myśli.

Być może teraz zrodziły się w twojej głowie pytania innej natury. A po co mi to? Po co mi ten niepokój? Do czego potrzebne jest samodzielne dochodzenie do prawdy? Możesz mówić, że w warunkach tak głębokiej złożoności współczesnej rzeczywistości dochodzenie do prawdy jest niepotrzebne. Że łatwiej mieć wszystko na tacy. Być może.

Żyjemy w informacyjnej Stajni Augiasza. Ale nie próbujmy jej sprzątać – porządek w tej kwestii może nas uczynić ślepymi na rzeczywistość. Nie sprzątajcie Stajni Augiasza! Zostawcie Titanica!



Facebook goes down under

Kacper Hetmańczyk

Nie ucichła jeszcze medialna wrzawa na polskiej scenie politycznej, po zaprezento-

waniu przez rząd projektu ustawy o opodatkowaniu mediów prywatnych. Premier oraz oficjele rządowi przekonywali, iż ustawa ta ma uderzyć w „cyfrowych gigantów”, takich jak Google czy Facebook. Jednakże w praktyce, nowa danina mogłaby zmusić mniejszych na dawców do wycofania się z rynku. Po proteście największych niezależnych mediów w Polsce oraz reakcji społeczeństwa na pomysł nowego podatku, rząd postanowił zrobić krok w tył i wprowadzić istotne zmiany w projekcie ustawy.

Miałyby one zapobiec „wykańczaniu” mniejszych wydawców. „Cyfrowi giganci” nie zareagowali na pomysł gabinetu Mateusza Morawieckiego - można więc wnioskować, iż opublikowanie takiej ustawy nie zaszkodziłoby Zuckerbergowi czy Pichai’owi w znaczącym stopniu. Prawdziwą wojnę wypowiedziała im Australia. Konflikt pomiędzy australijskim rządem a firmami Big Tech rozpoczął się trzy lata temu, jednak eskalacja nastąpiła



w lutym 2021 roku. Rząd w Canberze pracował nad wprowadzeniem ustawy, która zobowiązywałaby „cyfrowych gigantów” do zapłaty lokalnym australijskim mediom za udostępnianie ich treści. Można by przyjąć, że opłata ta byłaby bezprecedensowa. To przecież dzięki firmom takim jak Facebook czy Google wiele lokalnych portali ma szansę przebić się do odbiorcy, który przebywa poza terytorium, na którym lokalne medium działa.

Współtwórca sieci WWW – Timothy Berners-Lee – uważa, że nowe australijskie prawo może znieść „fundamentalną zasadę sieci poprzez zmuszenie do płacenia za linkowanie treści online”. Należy pamiętać, że wspomniane media, przekazując dalej owe treści „charytatywnie”, pobiera ją ogromne zyski z reklam udostępnianych na swoich platformach.



Posiadając praktycznie monopol na bycie „postańcem” w naszej rzeczywistości, firmy Big Techu inkasują znaczące kwoty, nie płacąc autorom przekazywanych treści ani grosza. Można by rzec, że prawo autorskie nie znajduje zastosowania w przypadku działania „cyfrowych gigantów”. Na taką sytuację Australia nie chciała się godzić - rząd w Canberze zapowiedział, że daje gigantom internetowym trzy miesiące na ustalenie nowych reguł działania na rynku medialnym. Jednak Facebook i Google nie zamierzali pójść na ustępstwa. Mark Zuckerberg ostrzegł australijski rząd, że jeśli ustawa o opodatkowaniu mediów zostanie uchwalona przez parlament, sięgnie po „opcję atomową”. Wtórował mu Google, pozycjonując niżej w swojej wyszukiwarce australijskie artykuły oraz lobbował wśród australijskich polityków. Zarząd groził również, że wycofa swoją przeglądarkę z Australii. Jednakże premier Morrison nie ugiął się pod naciskiem ze strony firm Big Techu, wtedy zarząd Googla podjął decyzję o rozpoczęciu dialogu z rządem w Canberze. Ostatecznie kalifornijski gigant poszedł na ugodę z mniejszymi wydawcami na terenie Australii, aby finalnie dojść do porozumienia z największą tamtejszą firmą - News Corp. Google zgodził się na płacenie wielokrotnie wyższej kwoty za udostępnianie australijskich treści dziennikarskich.

Facebook jednak ani myślał o ugodzie. W dniu 25 lutego sięgnął po zapowiadaną „opcję atomową”. Australijczycy ujrzeli o wiele uboższą wersję portalu społecznościowego. Dodatkowo, Facebook zablokował możliwość udostępniania linków prowadzących do australijskich stron internetowych. Oznaczało to, że obywatele Australii zostali odcięci od informacji na temat, np. koronawirusa, szczepień czy innych komunikatów rządowych. Ponadto, sytuacja ta stworzyła pole do popisu dla twórców fake newsów. Blokada Australii trwała kilka dni, ostatecznie Facebook usiadł do stołu negocyjnego. Decyzja Zuckerberga o powrocie do negocjacji była najprawdopodobniej związana z poparciem dla Australii wyrażonym przez Kanadę, Wielką Brytanię i Indie. Justin Trudeau zapowiedział, że rząd kanadyjski będzie pracował nad wprowadzeniem podobnej ustawy w swoim kraju. Indie również zamierzają się przygotowywać do podążenia ścieżką, którą wytycza Australia. Ostatecznie Facebook zniósł blokadę Australii, a obie strony doszły do porozumienia. Firmy Big Tech będą płacić mediom za korzystanie z ich treści. W przypadku ewentualnego konfliktu w przyszłości, stosowany będzie mechanizm arbitrażowy. Dodatkowo za rok zostanie przeprowadzona weryfikacja wprowadzonych przepisów, w celu upewnienia się, że będą one miały skuteczne zastosowanie.

Wygrana Australii w starciu z „cyfrowymi gigantami” ma olbrzymie znaczenie dla kształtowania się świata mediów oraz relacji „giga-korporacje” - rządy państw. Przypomnijmy sobie sytuację z grudnia 2020 roku. Facebook, Twitter oraz szereg innych serwisów społecznościowych zdecydowały się na zbanowanie kont byłego prezydenta USA - Donalda Trumpa.



Rzeczą oczywistą jest, że działanie „cyfrowych gigantów” było utrzymywane w dobrej wierze. Donald Trump był bowiem odpowiedzialny pośrednio za szturm swoich zwolenników na Kapitol. Jednakże należy zwrócić tutaj uwagę na jedną, jakże istotną rzecz. Facebook wyłączył konto Donalda Trumpa ... bo mógł. Demokratyczny świat jaki znamy nie dokonał regulacji na poziomie działania giga-korporacji medialnych. W dobie pandemii, kiedy kontakt międzyludzki przeniósł się w zdecydowanej większości do Internetu, wyłączenie czyjegoś konta na portalu społecznościowym równa się z zamknięciem mu ust, z wyłączeniem tej jednostki z życia społecznego. Jeśli więc „cyfrowy gigant” za pomocą paru kliknięć jest w stanie uciszyć praworządnie wybraną władzę, bez jakiegokolwiek kontroli ze strony sądu czy trybunału, to czy faktycznie mamy jeszcze do czynienia z suwerennymi państwami? Wygląda jednak na to, że rządy krajów demokratycznych nie zamierzają się godzić, aby Zuckerberg i spółka mieli pozostać bez jakiegokolwiek kontroli ze strony poszczególnych parlamentów.

Zwycięstwo Australii może być początkiem przemian na rynku mediów. Deklaracje Kanady, Wielkiej Brytanii czy Indii to jasny sygnał, że „cyfrowi giganci” będą musieli przygotować się na kolejne batalie. Oczekiwać należy jeszcze reakcji ze strony USA i Unii Europejskiej. To od nich zależeć będzie dalszy ciąg przemian. Kongres Stanów Zjednoczonych już raz próbował „dopaść” Marka Zuckerberga, w sprawie wykorzystywania danych osobowych. Wygrana Australii pokazuje, że firmy Big Techu nie są nietykalne i muszą się liczyć z demokratycznie wybranymi władzami. Jaka przyszłość czeka więc rynek mediów?

Po zbanowaniu konta Donalda Trumpa w grudniu przez wiele portali społecznościowych, alt-rightowy odpowiednik Twittera – Parler – odnotował przyrost nowych użytkowników. W Polsce Tomasz Sakiewicz otworzył polski odpowiednik Facebooka – „Albicla”. Co prawda Parler blokowany był przez Google, Amazona i Apple, a na portalu „Albicla” większość zarejestrowanych użytkowników to internetowi żartownisie podszywający się przykładowo pod Jana Pawła II. Jednak są to niewątpliwie próby przełamania monopolu „cyfrowych gigantów”. Nieudane aspiracje stworzenia alternatyw dla popularnych portali społecznościowych przez prawicowe środowiska nie wykluczają tego, że ktoś w przyszłości będzie chciał ten monopol Big Techu przełamać, tym razem skutecznie.

Sprawa Australii daje wiele do myślenia w tej kwestii. Być może w niedalekiej przyszłości możemy się spodziewać nie tyle narodowych wersji Facebooka czy Twittera, a wersji kontynentalnych, pod kontrolą nowopowstałych instytucji. Sytuacja taka mogłaby mieć miejsce, jeśli firmy Big Tech nie będą wykazywały woli do pertraktacji i pójdą na ustępstwa względem państw, w kwestii podatków czy zasad prywatności.

Kacper Hetmańczyk



Media bez wyboru

Joachim Stelmach



Pod takim hasłem, w środę 10 lutego, właściciele i nadawcy prywatnych mediów ogólnopolskich, regionalnych, a nawet lokalnych, przeprowadzili bezprecedensową akcję protestacyjną. Stacje telewizyjne, radiowe oraz portale informacyjne zamaryły na 24 godziny, a okładki dzienników zawarły hasło protestu na czarnym tle. Sytuacja zdecydowanie bezprecedensowa – brak przekazów medialnych, choć przez ledwie dobę, nie przeszedł obok nas obojętnie, a i został zauważony przez najważniejsze zagraniczne agencje informacyjne.

Ciężko jest znaleźć podobny przypadek, kiedy w społeczeństwie wręcz bombardowanym natychmiastowymi informacjami nagle zapanowuje głuchość.

Jedynym zbieżnym wydarzeniem wydaje się być kryzys w Czeskiej Telewizji (CzT) na przełomie lat 2000-2001. Dla przypomnienia, wtedy przyczyną konfliktu stała się osoba nowego dyrektora telewizji Jirziego Hodacza (popieranego przez rząd Milosa Zemana), który po objęciu stanowiska postanowił dokonać diametralnych zmian kadrowych i dokonać cenzury programów informacyjnych i publicystycznych. W odpowiedzi dotychczasowi pracownicy zaprotestowali, nadając swoje programy w Pradze po staremu, na co dyrektor Hodacz 20 grudnia 2000 r. odpowiedział wyłączeniem transmisji ich programów i nadawaniem nowych programów informacyjnych przez swoich lojalnych pracowników. Kryzys w CzT trwał ponad miesiąc, nieporównywalnie dłużej od akcji protestacyjnej prywatnych nadawców w Polsce.

W obu przypadkach obserwowaliśmy czarne ekrany w wyniku ingerencji rządu w krajowe media. Niemniej jednak kryzys w CzT wywołany został przez konflikt wewnętrzny i przez podjęte decyzje przez rząd w instytucji, która znajduje się pod jego kontrolą. W przypadku Polski, działania rządu Zjednoczonej Prawicy były atakiem w wolne, prywatne media w kraju.

Argumentacja rządu opierająca się na pretekście walki z pandemią COVID-19 jest naiwna, tak samo stwierdzenia, że prywatne media są w uprzywilejowanej sytuacji podatkowej. Płacą CIT, VAT, opłaty koncesyjne, emisyjne, te wynikające z praw autorskich i jeszcze wiele innych danin publicznych. Zebrane podatki i tak trafiają do kasy państwa, która zapewnia środki na walkę z pandemią.

W tym samym czasie to media publiczne znajdują się w uprzywilejowanej sytuacji, otrzymując corocznie 2 miliardy złotych z budżetu państwa. Nie od dziś wiadomo, że telewizja publiczna w Polsce jest narzędziem politycznym w mniejszym lub większym stopniu zależnym od obecnie rządzącej partii w kraju. Niemniej jednak, w tej chwili kontrola TVP przybrała niespotykaną w III RP skalę. Podobnie ingerencja w niezależne prywatne media zaczyna nabierać niecodzienną postać, kiedy to PKN Orlen przeprowadza ekspansję na rynku medialnym, a pozostałych graczy rynkowych postanawia się stłamsić, nakładając kolejne podatki. Jednak nie tylko o pieniądze chodzi. Czy Polska pójdzie drogą Węgier, gdzie zaczęto się od wprowadzenia dodatkowego opodatkowania, a potem zabrano się za odbieranie koncesji? Mamy pójść tą samą drogą?

Joachim Stelmach





Jansa kontra słoweńskie media

Bartłomiej Pychowski

Słyszając o państwie rządzonym przez populistyczną prawicę na myśl przychodzi nam Brazylia Bolsonaro, USA Trumpa czy Węgry Wiktora Orbana.

Im wyższą pozycję zajmuje państwo pod względem powierzchni, gospodarki czy może wpływów w organizacjach międzynarodowych tym naturalnie więcej skupia się na nim uwagi, niż na jakimś male-

ńkim post-jugosłowiańskim państewku. Mowa tutaj o nieco ponad dwumilionowej Słowenii pod wodzą premiera Janeza Jansa, znanego również potocznie jako "Marszałek Twito" ze względu na jego cięty język na twitterze. Jansa dał się poznać jako bliski sojusznik Orbana oraz Trumpa, którego jest ogromnym entuzjastą.



Było gotowy nie składać wraz z Polską i Rosją gratulacji prezydentowi elektowi Bidenowi. Być może liczył na magiczny zwrot wydarzeń, w którym ostatecznie wybory wygra Donald Trump? Premier Słowenii wzorując się na Orbanie postanowił obrać za wroga niezależne dziennikarstwo. Zarówno Słoweńska Agencja Prasowa (STA) jak i Publiczny Wydawca Telewizji (RTV) są od dłuższego czasu dyskredytowani przez śro-

dowisko rządowe z Jansą na czele. Zarzucają oni wolnym mediom dezinformację i niekompetencję. Ponadto należy wspomnieć, iż RTV powiązane jest instytucjonalnie ze Słoweńską Partią Demokratyczną Jandy, ponieważ rada programowa telewizji wybierana jest za zgodą Zgromadzenia Narodowego. Ustala ona kierownictwo telewizji wedle swojego uznania. Właśnie ten mechanizm został użyty, aby

zmienić krytyczne wobec Jandy kierownictwo i zastąpić ich kimś kto myśli zgodnie z linią rządzących. Również środowisko dziennikarzy na co dzień potyka się z groźbami i hejtem kierowanymi w ich stronę przez media i polityków partii Jansa. Przekroczeniem Rubikonu przez Jansa był projekt nowelizacji ustawy medialnej, która w znacznym stopniu zmniejszyłaby finansowanie STA.

Jednak spalił on na panewce, dzięki naciskom Komisji Europejskiej. Mimo tego sytuacja w Słoweńskiej Agencji Prasowej jest bardzo napięta ze względu na wpływy SPD, którzy niepokornych dziennikarzy mogą poddawać naciskom oraz cenzurze. Jednym z tematów który Jansa wolałby, uciszyć jest coraz większe inwestycje Orbanowskich Węgier w Słowenii.

Ponadto dziennikarze śledczy informują, iż dziesiątki lokalnych mediów jest powiązanych z ugrupowaniem Jansa wykorzystywanych jest jako tuba propagandowa której zadaniem jest atakowanie słoweńskiej opozycji względem SPD oraz promowania swoich polityków w debacie publicznej.

Słoweński rząd, rzecz jasna odrzuca wszystkie oskarżenia o jakiegokolwiek próby nacisków na media krajowe. Argumentuje to między innymi tym, iż “nadawcy są powiązani z lewicowymi centrami kapitałowymi i politycznymi, więc nie można mówić o próbie ich cenzurowania”.

Premier Jans bagatelizuje sprawę, mówiąc, że jest pełna wolność słowa, a jedynym problemem jest brak balansu między prawą a lewą stroną, która rzekomo dominuje. Wśród wyższych pracowników RTV w podobnym tonie wypowiada się Jadranka Rebernik. Jest ona odpowiedzialna za sekcje parlamentarną w słoweńskiej telewizji i twierdzi, że media przesadzają, a RTV jest krytyczne wobec obecnego rządu bardziej niż do poprzedniego i należy wprowadzić dziennikarską niezależność i neutralność.

Sytuacja słoweńskich mediów jest ciągle niepewna i znajduje się pod lupą międzynarodowych organizacji, które biją na alarm przy każdej kolejnej ingerencji słoweńskiego rządu w ich niezależność.



Jeśli nie niezależne media, to kto będzie patrzył na ręce rządu informując opinie publiczną o ich działaniach nawet jeśli jest to nie na rękę rządzącym? Premier Jansa może chcieć mieć monopol na przekaz medialny uderzający w konkurentów oraz wybielający SPD. Jednak są to tylko jego nierealne życzenia, które nie spełnią się dzięki pracy niezależnego dziennikarstwa niebojącego poddać krytyce polityków.

Bartłomiej Pychowski

Kto sieje burzę, zbiera brak koncesji



Maciej Flis-Flisiński



Od ponad roku stacja TVN24 czeka na otrzymanie od KRRiT decyzji w sprawie przedłużenia koncesji na nadawanie na terenie Polski.

Rada zwleka z jej wydaniem ze względu na rzekome braki w dokumentacji. Nadawca jednak zarzeka się, że o niczym takim nie został poinformowany. Co więcej, wszelkie potrzebne dokumenty zostały złożone przed czasem, jak również w odpowiedniej formie.

TVN już w lutym 2020 roku złożył wniosek o przedłużenie koncesji dla swojego informacyjnego kanału. Okazuje się, że zrobił to na cztery miesiące przed ustalonym prawnie końcem składania takich dokumentów. Koncesja w tym przypadku wygasa bowiem 26 września 2021 roku. Wszystko wskazuje na to, że KRRiT celowo stara się trzymać w niepewności opozycyjną stację telewizyjną. Nie od wczoraj wiadomo, że stacja TVN24 nie darzy sympatią aktualnego rządu. Przez ostatnie kilka lat TVN stał się medialnym wrogiem numer jeden dla partii rządzącej. Wszelkiego rodzaju doniesienia prezentowane tę telewizję starały się znaleźć w postępowaniu PiSu kontrowersje, jak również wszelaką nieudolność

– co nierzadko się udawało (to akurat zasługa polityków ulubionej partii Polaków). Nie dziwi więc fakt, że KRRiT nie śpieszy się z wydaniem zezwolenia dla nieprzychylniej rządowi stacji.

Wielu polityków PiSu od dawna również nie kryje swojego skrajnie negatywnego nastawienia do TVN. Najlepszym przykładem mogą być tutaj słowa pośła Mariusza Kałużnego, które wypowiedział podczas programu „Minęła 20” na kanale TVP INFO następujące słowa: „Dla mnie to antypolska telewizja i nie ma sensu się nią dłużej zajmować. Uważam, że nie powinna mieć przedłużonej koncesji w przyszłym roku. Pewnie gdyby rządził Donald Tusk, telewizji publicznej by nie było. Do TVN i Gazety Wyborczej płynęłyby miliardy i dzisiaj mielibyśmy media, które rzucają nieustannie błotem na Polskę i Polaków, na naród, na Kościół. Naprawdę trzeba przed tym się bronić. I to bronić znacząco.”

Od dawna zaobserwować można, w jaki sposób kreowany jest wizerunek Polski w mediach publicznych – kraina mlekiem i miodem płynąca. Może gdybym był chorym na umyśle człowiekiem, zdołałbym w to uwierzyć. Dlatego też stacja telewizyjna, która stoi w ostrej opozycji do prorządowego medialnego przekazu stała się solą w oku władzy. Przyzwyczajeni do poklepywania samych siebie po ramieniu politycy partii rządzącej nie potrafią pogodzić się z faktem, że istnieje spory odsetek osób o odmiennym sposobie postrzegania rzeczywistości. Dlatego też wszelkie formy sprzeciwu bądź krytyki będą oceniane jako zamach stanu i godzenie w dobre imię Polski.

TVN24 nie jest jednak stacją, której nie można niczego zarzucić. W podobnym stopniu co TVP dla PiSu stała się ona dobudówką dla partii takich jak PO czy Nowoczesna. Przekaz medialny jest niewyważony, a także celowo bardzo agresywnie wymierza ciosy we wszelkie posunięcia strony rządowej. Jest jak TVP INFO, tylko w drugim kierunku. Mimo, że kanały te są sobie wrogie, nie zdają sobie sprawy, jak wiele jest między nimi podobieństw.

Najbardziej irytującym elementem całej politycznej układanki w tym sporze jest niestety dziecinność rządowego organu. Mimo spełnienia wszelkich obowiązków prawnych jak i dotrzymania terminu składania dokumentacji przez stację, KRRiT z uporem maniaka zwleka z wydaniem stosownej zgody. Zwłoka jest niczym innym, jak tylko odpowiedzią na ataki TVN na Telewizję Polską. Czystą złośliwością, która ma pokazać wyższość jednych nad drugimi. Niewątpliwie strona rządowa wysyła jasną wiadomość w kierunku opozycyjnych mediów: nie jesteście już bezpieczni. Zastanawiające jest tylko, ile z prawem i sprawiedliwością rzeczywiście ma wspólnego partia rządząca.

Maciej Flis-Flisiński



BielsatTV – jedyna niezależna, białoruskojęzyczna stacja telewizyjna

Od czasu ostatnich „wyborów prezydenckich” na Białorusi minęło już trochę czasu, a sytuację wewnętrzną u naszego wschodniego sąsiada można z pewnością uznać za niestabilną. Warunki zmieniają się jak w kalejdoskopie, a obie strony konfliktu, czyli obóz rządowy skupiony wokół Prezydenta Aleksandra Łukaszenki, oraz szeroko pojęta opozycja nie zamierzają się tak łatwo poddać żądaniom stawianym przez przeciwnika. Oczywiście jest, że w autorytarnych realiach Białorusi całość mediów, które mają informować Białorusinów o wydarzeniach w kraju i na świecie jest w rękach Narodowej Państwowej Kompanii Radiowo-Telewizyjnej Republiki Białorusi, lub funkcjonuje tak jak stacja ONT (Obszczenacyonalnoje telewidenije) powstała z dekretu prezydenta Aleksandra Łukaszenki, jako państwowy nadawca.

Jednakże tak jak w Asterixie i Obelixie była jedna jedyna wioska galów, która opierała się Imperium Rzymskiemu, tak u naszego wschodniego sąsiada istnieje jedna stacja telewizyjna, która od 2007 roku zachowała swoją niezależność. Mowa oczywiście o BielsatTV – podmiocie medialnym będącym częścią spółki Telewizja Polska S.A. dlatego też siedziba Bielsatu znajduje się w Warszawie przy ulicy Woronicza 17.

Jakie są cele nadawcy i po co on właściwie istnieje? Jak sama strona belsat.eu wskazuje: „Belsat jest projektem na rzecz demokracji pod wieloma względami przypominającym przedsięwzięcia medialne takie jak Radio Wolna Europa czy Głos Ameryki [...] Stacja służy też budowaniu mostów pomiędzy Europą a Białorusią i wspieraniu procesów demokratycznych w tym kraju”.

Błażej Węgrzyn

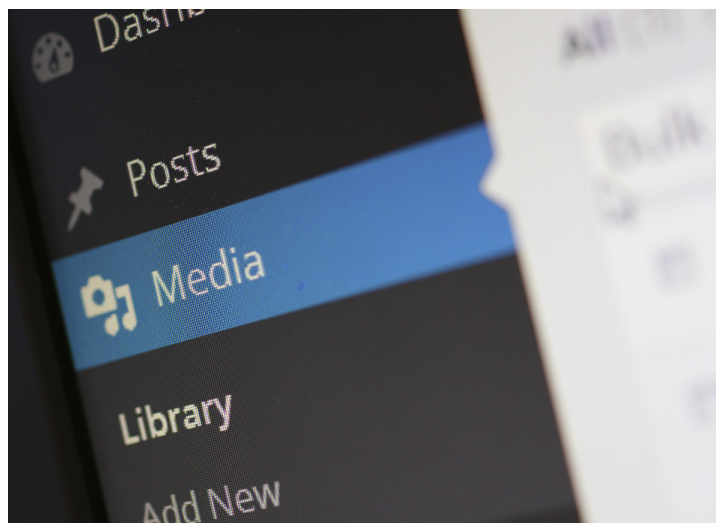


Niestety od wcześniej już wspomnianych „wyborów” sytuacja dziennikarzy i dziennikarek Bielsatu, którzy pracują w swojej ojczyźnie, stała się, lekko mówiąc nieciekawa. Trwające wciąż demonstracje i protesty nasiliły represje obozu rządowego w stosunku do osób powiązanych z Bielsatem, a takowe już wcześniej były radykalne. Dla przykładu w 2018 roku dziennikarze i współpracownicy redakcji zapłacili w sumie 190 tys. złotych grzywny, nie wspominając o zatrzymaniach, aresztowaniach, używaniu przemocy wobec dziennikarzy oraz rewizjach prywatnych mieszkań.

Narzędzia nacisku zostały użyte pełną parą przez obóz rządowy jednak w 2020. Przyjrzyjmy się danym, które BielsatTV podaje na swojej stronie internetowej:

- Dziennikarzy Bielsatu zatrzymywano 162 razy. Zatrzymaniom regularnie towarzyszyła konfiskata sprzętu.
- 26 dziennikarzy aresztowano, z czego 6 dwukrotnie, a 1 trzykrotnie, co daje łącznie 34 areszty administracyjne. Za kratami spędzili oni łącznie 392 dni.
- 7 spośród aresztowanych padło ofiarą przemocy fizycznej z rąk służb bezpieczeństwa.
- 7 dziennikarzy w następstwie zatrzymania wymagało hospitalizacji.
- Podczas brutalnego rozpędzania zamieszek w dniach 9 – 12 sierpnia dziennikarze Bielsatu wykonywali swoją pracę z narażeniem życia. 2 fotoreporterki zostały ranne na skutek użycia przez milicji broni gładko lufowej i granatów hukowych.
- Dziennikarze Bielsatu zapłacili grzywny w wysokości prawie 100 tysięcy złotych.

Sytuacji nie poprawia „niezależne” sądownictwo na Białorusi, które regularnie skazuje na odsiadki w koloniach karnych nie tylko demonstrantów, a także dziennikarki i dziennikarzy. Kaciaryna Andrejewa i Daria Czulcowa to dwie pracownice stacji BielsatTV, które 18 lutego zostały skazane przez białoruski sąd na dwa lata kolonii karnej za „organizację działań rażąco naruszających porządek publiczny”. Czym jest kolonia karna? To nie jest zwykłe więzienie. Najogólniej, jest to instytucja, gdzie skazany musi zapracować na swoje utrzymanie np. produkując elektronikę, a więc tak de facto bliżej temu do obozu pracy przymusowej niż więzienia, które znamy na zachodzie. Sprawa dwóch wcześniej wspomnianych dziennikarek jest w toku, ponieważ ich adwokaci postanowili odwołać się



od wyroku, a według Centrum Obrony Praw Człowieka „Wiasna”, w zeszłym miesiącu na podstawie kodeksu karnego skazano 102 osoby: 88 mężczyzn i 14 kobiet. Wśród skazanych jest trzech niepełnoletnich, którzy dostali kary od 2 do 6 lat pozbawienia wolności. MSZ Rzeczypospolitej Polskiej jako główny fundator stacji, w której pracowały dziennikarki również postanowił zabrać głos w tej sprawie nawołując do zwolnienia Andrejowej oraz Czulcowej grożąc przy tym kolejnymi unijnymi sankcjami, a Sejm RP w dniu 25 lutego uznał wyrok białoruskiego sądu jako jawne pogwałcenie wolności słowa i wolności zgromadzeń w Republice Białorusi. Niestety nie wiadomo jak dalej potoczy się sprawa, tak samo jak nie wiadomo, czy i kiedy ustaną protesty i demonstracje u naszego wschodniego sąsiada. Łukaszenka i jego środowisko idą w zaparte, a białoruskie sądownictwo prawdopodobnie podtrzyma swój osąd skazujący Andrejową oraz Czulcową na kolonię karną za wykonywanie swoich obowiązków. BielsatTV będzie dalej rzetelnie informował Białorusinów o tym jak wygląda sytuacja w ich ojczyźnie nie polewając tego propagandowym sosem, jak ma to w zwyczaju ichniejsza telewizja państwowa.

Błażej Węgrzyn

K

Wojna o duszę latynoameryki



Igor Dzedzic

Co to znaczy być ślepym? Nie móc widzieć czy nie chcieć dostrzegać? A są miejsca, gdzie swój początek mają procesy, które zajdą również na innych kontynentach. Co więcej, obszary te stanowią mają poligon, swoistą próbę w wykluwaniu się nowej zimnej wojny. Mowa oczywiście o Ameryce Łacińskiej – miejscu, które kojarzymy z Amazonią, dżunglami i ewentualnie bosymi wożaczami Wojciecha Cejrowskiego. Choć jest to miejsce, w którym rozpoczęła się emancypacja ludów tubylczych, historia zawsze toczyła się tam wolniej. Jednak bieg dziejów zdaje się przyspieszać i tworzyć wyzwania dotąd niespotykane.

Chiny i Rosja – były i obecny aktor zimnej wojny. Łączy ich wiele, ale na pewno nie bieżące interesy. A z pewnością dzieli te kraje teren na południe od Stanów Zjednoczonych. Choć oba robią wiele, by wydrzeć te ogromne hektary ziemi spod amerykańskiej dominacji. Jednak odchodząc już od wątków sentymentalno-poetyckich, należy odpowiedzieć sobie na kilka zasadniczych pytań.

Dlaczego i po co?

Czy oba kraje mogą odnieść jakieś korzyści ze dominowania tego regionu, oczywiście oprócz utarcia nosa Waszyngtonowi? W przypadku rosyjskim część elementów można ekstrapolować z po-



stępowania Kremla na kontynencie europejskim. Chodzi zatem o odzyskanie mocarstwowej pozycji, ale przede wszystkim o ukazanie niejako w „krzywym zwierciadle” całego zła, jakie niesie za sobą demokracja liberalna. Pokazanie sprzeczności, zdemoralizowania i nieskuteczności tego systemu poprzez bycie jego karykaturą. Ale wciąż nie daje to odpowiedzi na pytanie, dlaczego dzieje się to akurat w Ameryce Łacińskiej. I w tym miejscu należy pochylić się nad przeszłością. Tam bowiem dziedzictwo Związku Sowieckiego nie stanowi przytłaczającego bagażu, lecz pamiątkę walki z supremacją gringo (termin często przypisywany żołnierzom Stanów Zjednoczonych przez Latynosów). Państwo środka chce stanowić punkt odniesienia dla większości

krajów, ale w tym wypadku dąży do działania w innych obszarach niż ich północny sąsiad.

Wszak Latynoameryka stanowi nowy i nieprzebyty rynek zbytu dla tanich chińskich produktów, których w Europie mamy przesyt. Co Chiny miałyby z tego w zamian? Z pewnością bardzo dobre źródło zasobów. Dajmy na to, argentyńską benzyną można przewozić minerały z Chile i Peru, stopy metali z Meksyku i Kolumbii czy żelazo z Brazylii. Pekinowi bardzo zależy na rozszerzaniu swojego soft-power. Można to robić poprzez kuchnię opartą na soi, której pod dostatkiem jest w Brazylii. Na światowej sławy wołowinie z Argentyny. Drukować książki i gazety na papierze dostarczonym z Brazylii i Chile.

Dlaczego więc propozycja pekińska ma być dla tych państw najkorzystniejsza? Choćby z powodu braku korelacji między wsparciem ekonomicznym, a kwestiami ustrojowo-politycznymi. Dla wielu graczy w regionie, od słynnego na całym świecie Wenezuelczyka Nicolasa Maduro, przez opromienionego wyborczym sukcesem Evo Moralesa, zmagającego się z gwałtownymi procesami społecznymi Martina Vizcarre, czy też niespełna czterdziestoletniego Nayiba Bukele – prezydenta Salwadoru.

Kraina nędzą i dezinformacją płynąca

Latynoameryka zмага się z szeregiem problemów, porównywalnych jedynie do tych obecnych w Afryce. Ciężą na niej wieki europejskiej kolonizacji, dekady Amerykańskiej dominacji i ingerencji w sprawy wewnętrzne tych państw. Często z niszczącym skutkiem. Wciąż mamy do czynienia z ogromnymi i stale powiększającymi się

nierównościami społecznymi oraz wysokim poziomem biedy. Kwestia leży nie tyle w doborze systemu ekonomicznego, ile w olbrzymim skorumpowaniu władców tych państw. Stąd wielki resentyment wielu społeczeństw regionu do USA, ale też ogromna niechęć wobec dyscypliny fiskalnej, związanej z narzucanym im Konsensusem Waszyngtońskim. Rodzą się z tego różne, poważniejsze w dłuższym terminie konsekwencje. Duży odsetek ludności nie posiada średniego, czy nawet podstawowego wykształcenia. Z powodu paraliżującego Wenezuelę kryzysu politycznego, wiele dzieci poza stolicą Caracas nie jest posyłanych do szkół. Problem wciąż narasta, tak samo jak brak zaufania do władzy. Wszak powszechnie mówi się tam, że politycy zajęci są wyłącznie własnymi interesami i walką między sobą, nie zaś mieszkańcami. Mimo braku wykształcenia i zaufania do elit oraz problemów finansowych i politycznych, w Ameryce Południowej jedno jest wspólne ze światem zachodnim – wzrost znaczenia mediów społecznościowych. Portal *Orden Mundial* i opierający się na nim *Polski Instytut Spraw Międzynarodowych* szacują, że 7 na 10 osób na tym kontynencie w 2020 roku czerpało informacje z Internetu, przede wszystkim z portali społecznościowych. Temat social mediów więc powszechnie, ale w tych okolicach nabrął zupełnie innego oblicza.

Polityka informacyjna Chin i Rosji w regionie

Jeżeli mowa o stosunkach medialnych w krajach Latynoameryki, to już na wstępie należy zwrócić uwagę na to, że giganci z Doliny Krzemowej opisywani złowrogim akronimem GAFKA wcale nie dominują na rynku medialnym tego regionu. Natomiast coraz częściej czynią to podmioty rosyjskie i chińskie. W tym miejscu należy pochylić się nad garścią statystyk. Otóż hiszpańskojęzyczna wersja *Russia Today* cieszyła się w 2020 roku miesięczną liczbą wyświetleń w liczbie 24,1 mln, *Sputnik News Mundo* liczbą 5,9 mln. Dla porównania – największy Amerykański gracz w regionie, *VOA Noticias*, w poprzednim roku zanotował jedynie 600 tysięcy wyświetleń w skali miesiąca. Oczywiście od RT silniejsi są jeszcze hiszpańscy potentaci – *El Pais* i *El Mundo* oraz gracze regionalni, czyli Argentyńskie *Infobae*, Brazylijskie *O Globo* i *UOL*. Jednak dystans jest od wielu lat systematycznie niwelowany, o czym świadczą największe spośród czołówki przyrosty wyświetleń w zestawieniu rocznym. Jednak działalność rosyjska w Ameryce Łacińskiej nie sprowadza się wyłącznie do śmiałych poczynań na rynku medialnym. Moskwa również w tym regionie aktywnie wpływa na polityczne procesy. W roku 2016 w Kolumbii wpływy rosyjskich hakerów przeważały o odrzuceniu w referendum porozumienia pokojowego rządu z guerillą FARC (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii). Wręcz komiczny przykład stanowią natomiast wybory prezydenckie w Meksyku z 2018 roku, w których zarówno zwycięski socjaldemokrata Manuel Lopez Obrador, jak i jego główny konkurent, konserwatywny Ricardo Acaya, wynajmowali komercyjne rosyjskie siły botów celem automatyzacji treści i sztucznego podbijania swojej popularności w mediach cyfrowych. Nieustannie działa również wspomniana już jednostka dezinformacyjna Nicolasa Maduro, korzystająca jawnie z rosyjskiej infrastruktury.

Dlatego zaskoczenia nie powinien stanowić fakt, że drugim po Stanach Zjednoczonych krajem z największą ilością żarliwych zwolenników Donalda Trumpa (tzw. MAGA, od Make America Great Again) jest właśnie, nieuznawana przez ustępującego już prezydenta USA, Wenezuela. Coraz większe wpływy na rynku medialnym na kontynencie zaczynają posiadać również Chińczycy. Stacja CGTN i agencja prasowa *Xinhua* w roku 2020 po raz pierwszy znalazły się w zestawieniu mediów o największych zasięgach w Latynoameryce. Oba podmioty mogą poszczycić się około 500 tysiącami wyświetleń miesięcznie.

Zastanawiać się można, czy dominacja rosyjskich i chińskich ośrodków medialnych w peryferyjnym jednak z geopolitycznego punktu widzenia regionie rzeczywiście może wywrzeć wpływ na Europę lub Stany Zjednoczone. Odpowiedź brzmi – zdecydowanie tak, i to z dwóch przyczyn. Po pierwsze emigracja z Latynoameryki (zwłaszcza do USA) wzrasta. Ponadto wojna w regionie Ameryki Południowej stanowić może poligon, z którego doświadczenia wielcy gracze mogą wykorzystać w innym miejscu na świecie. Dlatego tym bardziej istotne jest trzymanie ręki na pulsie. Póki nie jest za późno.

Igor Dziedzic



Kon!eksty

miesięcznik Koła Naukowego Publicystyki Politycznej UJ

Redaktor naczelny: Igor Dziejcz

Zastępca redaktora naczelnego: Błażej Węgrzyn

Redakcja numeru: Igor Dziejcz, Maciej Flis-Flisiński, Gabriela Kołodziej, Kacper Hetmańczyk, Bartłomiej Pychowski, Joachim Stelmach, Błażej Węgrzyn

Korekta: Gabriela Kołodziej, Joachim Stelmach, Maria Świągost, Aleksandra Trzyszczyk

Opracowanie graficzne: Aleksandra Rogalińska